

Każdy sobie rzepkę skrobie

PAWEŁ GŁOWACKI

Rok w rok, od 18 już lat (z jednym wyjątkiem), na progu Wiosny, w szeregu lekko kontestujących, otwartych, by tak rzec „alternatywnych” teatralnych publiczności, wkłada się radosny niepokój — pojawia się stan podwyższonej gotowości intelektualnej. Nie inaczej było i tym razem. Wraz z drzewami pączkowały nadzieje na świeży, zaskakujący i mocno niepokojący teatr. Oto bowiem zbliżał się nieubłagany 17 marca — moment otwarcia kolejnych Krakowskich Reminiscencji Teatralnych. Jaki był powoli chyłny się ku końcowi (by nie powiedzieć ku upadkowi...) sezon w tzw. repertuarowych teatrach — bywalcom nie muszę przypominać. Cóż więc było robić? Trudno darmo — podłączyłem się, wierząc przy tym szczerze, iż naprawdę poruszy mną ów świeży, zaskakujący i mocno niepokojący teatr. Miałem tylko jedną wątpliwość. Otóż przy oczywistej miserii scen nie-alternatywnych, wobec czego niby czekająca mnie alternatywa ma być alternatywna?

Okazało się, iż alternatywa roku 1993 jest alternatywna wobec wszystkiego. Nawet wobec samej siebie (co skądinąd zupełnie naturalne). Oto bowiem, gdy zestawiam z sobą dwa szczególnie wydarzenia tegorocznych Reminiscencji, nie można się nie zdziwić, że są tym samym — alternatywą właśnie. Mam tutaj na myśli ostatnią realizację Teatru Provisorium „Z nieba, przez świat, do samych piekieł”, oraz grupę Stacja Pi. Stacja z jej drobniakiem o wdzianym tytule „Nie pierdol kwiatuś”. Kwiatuśzek ów w istocie nie był agresywny — składał się z półtoragodzinnego kłócenia trzech artystów twarzą do ściany, plecami do widowni, w stałym oświetleniu oraz w kompletnej ciszy. Ot i wszystko. Ludzie wchodzili, potem wychodzili, popijali pepsa w „mokrych” szklankach, gadali o tym i o tym, co i raz kontrolując stan rzeczy: „kłęzą?” — „kłęczą”. Ktoś się położył wśród artystów, ktoś inny puszczał im na plecach „zajaczki” z cienia, a wielki mój przyjaciel, znany awangardzista, przez cały czas coś notował — rad bym się

dowiedzieć, co? Na tle tego kwiatuśzka Teatr Provisorium okazał się formacją cokolwiek staroświecką. Jak zwykle operował bardzo gestym i mocno zdynamizowanym scenicznym kolażem komponowanym z fragmentów wielkiej światowej literatury. Była w nim „Księga Hioba”, była „Pieśń nad Pieśniami”, był „Faust” Goethego i „Doktor Faustus” Manna, był w końcu „Biesy” i „Bracia Karamazow” Dostojewskiego. Janusz Opryński stworzył z tych cząstek obraz natury ludzkiego losu, obraz nieodwołalnego kierunku naszej ziemskiej wędrówki — z góry na dół, ze światła ku ciemności, z niebieskich euforii do nieuchronności piekła. Każdy gest, każde słowo, każde poruszenie namietności naznaczone jest oboma biegunami — tak miłością, jak nienawiścią, na równi grzechem i nadzieją pokory. Jest więc w tym spektaklu jasność i mrok, jest Alosza Karamazow i Iwan, jest artysta Leverkühn i zwykły śmiertelnik Hiob. I nic więcej. Jedynie pusta scena, czarne kotary, teatralna budajarmarczna w kształcie rikszy, kilka rekwiizytów i dwóch aktorów, dwóch demniogów kreujących przed nami figurę losu, nieuchronność kierunku. Gdy zrobiemy teraz krok dalej, gdy spojrzymy na poetykę całości, gdy zapytamy o zasadę wiążącą wszystkie elementy, wtedy zaczynają się kłopoty. Jest po prostu tak, że literacko czysto poprowadzona myśl gubi swą jasność i moc w swoistej scenicznej tautologii. Gombrowicz rzekłby pewnie, iż to masło jest zbyt maślane. Otóż to! Takie mroki okazują się zbyt mroczne, dramat zbyt dramatyczny, a tyczy zbyt ławe. Ten rodzaj operowania światłem, taką całą myśl z pola przedstawiania do granicy epatowania — tak widza jak i samej siebie. Nie wiele w tych warunkach może poruszyć tak naprawdę, jeszcze mniej może zaboled, kazać zareagować całym sobą, niewiele zmusza, aby bać się wytrącenia z obojętności. A przecież coś zupełnie odwrotnego stanowi o istocie teatralnej alternatywy. Czyż nie?

Podobnych opozycji można było znaleźć na Reminiscencjach bez liku. Na ten

przykład liryczna „notka” o naturze twórczenia rozpisaną na wędrówkę światła, przestrzeń i głos, po trosze instalacja i „zastygły” performance w spektaklu „Paul Klee. Marzec 1916” Pawła Góreckiego — to z jednej strony, z drugiej zaś „Gospoda ku Wiecznemu Pokojowi” Teatru Wiejskiego Węgajty — coś na podobieństwo etnoatorium Gardzienice, fenomenalnie wyśpiewana przypowieść o odwiecznych ludzkich namietnościach. Można by rzec, iż zimny intelekt szukający odrobiny ciepła w rozkręconej przez siebie cywilizacyjnej maszynie (Górecki) przegłąda się w czymś odwrotnym — w atawistycznej bez mała wrażliwości próbującej się okiełznać teatralną formą. I tak dalej, i dalej, i dalej... Teatr Chairis (RFN) ze swoją „Karawaną 2B” — ulicznym obrazem współczesnej cywilizacji; teatry: Cinema i Bom-Baz, teatry, jak je nazywam — chodzone — tyleż grające swe historie, co je pokazujące; Towarzystwo Teatralne Wierszalin ze słynnym już i nagradzanym „Turlajgroszkim”; Bogdan Mizerski próbujący komentować Witkatego kontrabasem w swoim „Call (kontrabas + witkacologizm)”; Grupa Terapeutyczna Performer z dionizyjsko wręcz rozbuchanym „Ultrafioletem”; poza tym koncerty, prezentacje video oraz, jakby tego wszystkiego było mało — warsztaty teatralne Walerego Fokina. Gdyby ktoś jednak pomyślał, że na tym koniec, grubo się pomylił. Naliczyłem w ciągu tych pięciu dni 36 imprez i idę o zakład, że nie ma człowieka, który by wszystkie je obejrzał. A moja ocena? Do wszystkiego, co zdołałem zobaczyć, miałbym rzecz jasną jakieś ale. Cóż jednak po jednostkowych rozstrząsaniach, co po kilkunastu cenzurkach? Zgola nic. Na dziś ważniejsze pytanie jest pytanie: „kto w ogóle jest?”, a nie: „kto jaki był?”. Zatem kto w ogóle jest? Otóż wszyscy jakoś tam próbują zaistnieć, mniej lub bardziej rachytnie, ale są. Na jakiej zasadzie? Na tytułowej zasadzie.

Tak więc z jednej strony Stacja Pi, Stacja, z drugiej Provisorium. Jedni do Sasa, drudzy do lasa. Oto, jak sądzę, istota teatralnej alternatywy 1993 r., tak właśnie, w koniecznym uogólnieniu, jawią się

TEATR



Rys. MARCIN ŚWIATLICKI

również tegoroczne Reminiscencje. Nie wiem, czy można będzie znaleźć gdzieś bardziej optymistyczną (pomimo wszystkiego...) i więcej dodającą otuchy recenzję. Wszak trudno sobie wyobrazić coś bardziej budującego, aniżeli wielość propozycji, różnorodność zjawisk, czy też odmienność poetyk. I jak się okazuje, zupełnie przestaje być istotny fakt maszerowania w jednym szeregu. Krzysztof Lipski, wieloletni dyrektor Reminiscencji, określił lata 90. czasem piekielnie trudnym i niewdzięcznym dla teatru alternatywnego. Istotnie — zniknął wspólny „wróg”, nie istnieje już mur estetycznej i etycznej obojętności, w który łatwiej przecieć było uderzać zwierając szeregi, proponując ponadjednostkowe poetyki i wspólnie żywione postawy. Lża się w oku kręci, ale nie da się ukryć, że jest to lża tęsknoty za czasem swoistej teatralnej „łatwizny”. Dżś każdy pozostawiony został sam so-

bie. Każdy sam musi dokonywać wyborów, szukać „wroga”, budować wartości i kreować jakości estetyczne. Na własną rękę i na własną odpowiedzialność. Jak każdy nowy stan, tak i samotność wymaga czasu, aby zdać sobie sprawę z jej niewątpliwie stymulujących możliwości. Póki co, jednak każdy, w mniejszym lub większym stopniu, pędzi w swoją stronę (co dobre), na oślep raczej i na złamanie karku (co bardzo niedobre). Ktoś dobiegnie, ktoś lekko zwicnie nogę, a ktoś zupełnie inny kompletnie się pokierusuje. No cóż, tak właśnie jest, jak świat światem a Teatr Teatrem. I bardzo dobrze.

PAWEŁ GŁOWACKI

KRAKOWSKIE REMINISCENCJE TEATRALNE, 17-21 marca 1993.